



GABRIELA ZAPOLSKA

---

**Frania**

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska



GABRIELA ZAPOLSKA

# Frania

SZKIC

— Pójdziemy na festyn?

— Jak chcesz!...

— Ta ta ta!... masło maślane... Obłudnik! Faryzejczyk!... Myślałby kto, że trzech zliczyć nie umie. Tyran!...

Marulka stulił uszy, poprawił się niespokojnie na krześle i drżącą ze starości ręką po obrusie zaczął nożem krzyżyki znaczyć.

Lecz pani Franciszka porwała go za rękaw i gwałtownie nim targać zaczęła.

— Połóż to!... niedorajdo!... Obrusy teraz będziesz krajać w kawałki!... Niszczyć bielezną stołową, co moją krwawą pracą w kupie trzymam, bez florku<sup>1</sup> piorę i nie dają się jej rozpaść w kawałki!

Umilkła na chwilę, lecz zaraz podjęła tym samym krzykliwym głosem:

— Ty byś chętnie serce moje wziął i tak na sztuki nożem pokrajał... Znam cię, ptaszku!...

Marulka podniósł na żonę swe wielkie zamglone źrenice, nad którymi sterczały krzaki brwi od siwizny białych.

— Co ty gadasz, Franiu... — wyszeptał, wzruszając ramionami.

Lecz Frania w spojrzeniu tym znalazła nowy powód do gniewu.

— O!... jak to patrzy! Jak to patrzy spode łba... jak zbój!...

Uderzyła drobną pięścią w stół.

— Nie patrz na mnie, bo mi schab przez gardło nie przejdzie...

Marulka opuścił pomarszczone i zaczerwienione powieki i siedział teraz nieruchomy jak posąg, strawiony rdzą czasu, pracy i niedostatku. Przed sobą miał szerokie i rozłożyste piersi żony, objęte wykrochmalonym i wyrurkowanym kaftanikiem. Poprzez oczka haftu przebijała masa białego, przesiąkniętego tłuszczem ciała i świecił się łańcuszek, na którym zwisało się kilka medalików. Frania jadła szybko, a okrążyła jej twarz o drobnych rysach i ustach wiecznie ściągniętych, jakby w przesadzonej chęci dystynkcji<sup>2</sup>, drobnych oczkach złotaworudych, nad którymi świeciły się przyklepane i pomadą<sup>3</sup> wysmarowane włosy, zmieniała się machinalnie pod wpływem dobitnego poruszania szczęką dolną, jak twarze marionetek w gabinecie figur woskowych.

Frania nie jadła, lecz żuła.

Żuła, przeżuwała, żuła znów, zanim zdecydowała się połknąć ów nieszczęsny kawałek strawy. Jedząc, układała kupki z jadła na brzegu talerzu, przyglądała się im, rozrzucała, mieszała, układała na nowo i wreszcie zdecydowała się nabrać na brzeg noża trochę strawy i wsunąć do ust zaledwie rozwartych.

Zdawać by się mogło, że ta czterdziestoletnia kobieta żyje jedynie dlatego, aby zasiąść przy brzegu stołu i żuć, żuć bez końca te rośliny, to ciało innych zwierząt, to maczać chleb w sosach długo, długo, i wreszcie, gdy tłuszcz już skrzepł na talerzu, podnieść rękę do ust i chleb ssać powoli zacząć.

Jedzenie

<sup>1</sup>florok (gw.) — chlorek, w znaczeniu: chlorek bielący (podchloryn wapnia), silny utleniacz, stosowany jako środek wybielający i dezynfekcyjny. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>dystynkcja — tu: dystygowane, wytworne zachowanie. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>pomada — tłusty, pachnący środek kosmetyczny używany dawniej do smarowania włosów dla nadania im połysku i miękkości. [przypis edytorski]

Mała, tłusta, z biodrami szeroko rozwiniętymi, z głową małą, wtłoczoną pomiędzy rozlane ramiona, lubiła ciepło, jadło, obuwie ze spiczastymi nosami, kawę, spaceru na Plantach, panią Tulipską, sąsiadkę z pierwszego piętra. Nienawidziła za to mężczyzn, księżycy, muzyki, pani Gundelskiej, sąsiadki z drugiego piętra, sług w ogólności, książek, miłości wraz ze wszelkimi akcesoriami, a szczególnie męża.

Dwadzieścia lat małżeństwa z człowiekiem o trzydzieści lat od niej starszym oprócz tortury małżeńskiego łoża nie przyniosło jej ani jednej chwili jaśniejszej, drgnięcia zmysłów, stracenia choćby na sekundę świadomości o brutalności i szpetocie aktu, na który przysięga ślubna skazywała ją bez litości. Marulka, Czech limfatyczny<sup>4</sup> i chorowity, był dla niej w chwilach nagłej czułości uosobieniem kata, znęcającego się nad jej zupełnie zimnym i milczącym ciałem.

Po długich walkach nareszcie zmuszona mu ulegać, miała w swych oczach taką moc wstrętu, że każdy cofnąłby się przed tą wyraźnie zaznaczoną nienawiścią i pogardą kobiety.

Gdy mąż jej zadowolony zapalał fajeczkę i pogwizdywał polkę, Frania gryzła do krwi usta z bezsilnej wściekłości. Uległa!... ulec musiała! Lecz dlaczego? Czyż nie była właścicielką swego ciała? Skąd i kto nadał prawo temu człowiekowi znieważać ją brutalnym aktem, w którym po latach tylu ani na chwilę nic prócz szpetoty dopatrzeć i odczuć nie mogła? I powoli z tej Frani jasnowłosej i w krasę<sup>5</sup> bogatej zrobiła się drobna, gruba kobietka, żująca potrawy, które sama przyrządzała w kuchni całymi godzinami. Prasowała sobie kaftaniki, rurkowała je i szarymi godzinami gawędziła z panią Tulipską, sąsiadką z pierwszego piętra, o drożyznie mięsa, jaj, mleka i mieszkań.

Czasem potraciły o sługi, a raz nawet zgadało się o miłości.

Pani Tulipska westchnęła i ramionami ruszyła.

— Moja paniusiu droga — wyrzekła, zakładając ręce na piersi — romanse to fidryganse!<sup>6</sup>!... Miłość!... albo to istnieje na świecie? Ot, człowiek z człowiekiem się zejdzie, złączy ich wola boska i klepią biedę we dwoje. Z początku to kobiecie ciężko się przyzwyczaić do tych... wymagań mężowskich, później to się znosi... ot! jak dopust Boży!...

Frانيا pokiwała głową.

— Patrzcie państwo!... To i paniusia także... Ano, to cieszy mnie bardzo, że nie ja jedna. Mój pan małżonek mówi mi, że to ja tylko taki głaz!

Pani Tulipska parsknęła śmiechem.

— Co znów!... Wszystkie my tak!... Panom mężom to jeszcze czasem fidryganse-romanse w głowie!

Czuli się to, czuli, a ja najczęściej, gdy mnie Tulipski całuje — o jutrzejszym obiedzie myślę albo o tym, czy aby strych będzie wolny w przyszłym tygodniu i czy mogę zacząć pranie...

— To tak jak ja!... — przyświadczyła Frania.

Mrok zapadał błękitny i tajemniczy.

W klatce kanarki kurczyły się do snu, chowając głowę pod skrzydełka. Przytuliły się do siebie blisko, blisko i wisały tak nieruchome w przestrzeni, jak dwie gwiazdeczki złote nagle ze sobą złączone.

Przed obydwoma kobietami na maluchnym stoliku, pokrytym czerwonym obrusem, stały filiżanki od kawy, cukierniczka, okruchy ciastek na talerzyku i w pudełku smażone owoce.

Pani Tulipska utkwiała wzrok w klatkę z ptakami.

— Będzie pani miała młode? — spytała wreszcie chrapliwym głosem.

— Będzie! — odparła Frania. — Kupiłam niedawno samicę na miejsce tej, co zdechła. Zaraz się pokochali z kanarkiem i teraz panuje między nimi wielka miłość...

Pani Tulipska wydeła usta i sięgnęła po smażoną gruszkę.

— Och!... te zwierzęta!.. — wyszeptwała, przewracając oczy.

Nienawisć, jaką miała Frania do objawów miłości męża, powoli przeszła i na samą postać Marulki. Ośmielając się, coraz więcej<sup>7</sup> ściagała go tą nienawiścią ciągle, siekąc go

<sup>4</sup>limfatyczny (daw.) — o człowieku: „bezkrwisty”, słabowity, o flegmatycznym temperamencie. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>krasa (daw.) — piękno, uroda. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>fidryganse (daw., gw.) — mizdrzenie się, zaloty; podrygi, łamańce. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>więcej — dziś popr.: bardziej. [przypis edytorski]

różgą pogardliwych wyrażen, rzucając mu w twarz jego wiek, złamaną postać, trudność wysłowienia się. Cały rząd domu przeszedł w jej ręce, odebrała mu pieniądze i wydzielała mu centy na marki<sup>8</sup> do listów lub na trochę tabaki. Marulka był urzędnikiem w niewielkim banku i pensyjka jego zaledwo wystarczała na skromne życie dla dwojga. Frania znajdowała w tym doskonale źródło utyskiwań i tronuąc wśród swych dwóch pokoi w powodzi białego perkalu i tanich wstawek, czuła się tylko na chwilę uspokojona, gdy zasiadła do obiadu. I tu jednak ściagała jeszcze męża nienawistnym wzrokiem, nazywając go „tabaczarzem”, „tyranem” lub „przeklętym Czechem”.

Marulka milczał, kulil siwą głowę w ramiona, rozumiejąc dobrze, skąd pochodzi źródło wiecznej urazy tej kobiety ciągle chmurnej, złej i jakby skrzywdzonej.

Ustępował we wszystkim nie dlatego, aby ją kochał obecnie, bo Marulka także kochać nie umiał, lecz dlatego, że przyzwyczail się do niej, do jej dąsów, wymysłów, nienawiści i jej zimnego i zbuntowanego temperamentu.

\*

Po obiedzie był festyn w Strzeleckim Ogrodzie. Zielen, kurz, stoliki z hrabiankami galicyjskimi, sprzedającymi losy na loterię, namioty z aktorkami w scenicznych sukniach, odświeżonych na tę uroczystość, panowie komitetowi, latający jak gromada szaleńców z jednego końca ogrodu na drugi dla niewiadomych przyczyn, trzy kapele wojskowe grające równocześnie lub na przemiany<sup>9</sup> fantazje z *Traviaty*<sup>10</sup> i *Carmeny*<sup>11</sup>, lampiony poszarpane zanim jeszcze zmrok nastal, tłok ludzi koło stolików restauracyjnych, słońce wspaniałe, olbrzymie, boskie ponad tą gromadą robaków, wijących się w śmiertelnych podrygach ambicji, próżności, próżniactwa i miłości.

Po zasłanych, jak śniegiem, biletami loteryjnymi alejach szła wyprostowana Frania, trzymając się ramienia Marulki, który uroczysty, w długim surducie i nowym kapeluszu, starał się swe ogromne stopy zastosować do drobnych kroków żony.

Frania miała na sobie szarą jedwabną suknię, narzutkę okrytą dżetem<sup>12</sup>, kapelusz koronkowy z żółtym kwiatem i koronkowymi „brydami”<sup>13</sup>. Ten żółty kwiat niepokoił ją. Zdawało się jej, że jest „krzyczący”, nieprzyzwoity...

Gdy włożyła kapelusz, odwróciła się do męża:

— Prawda, kokocko<sup>14</sup> wyglądam? — spytała w obawie uczciwej mieszczańki przed skandalem, jaki mógł wypaść z powodu tak wyzywającego stroju.

Marulka, przyzwyczajony do ciągłego potakiwania żonie, przyświadczył i tym razem:

— Prawda...

Lecz Frania przyskoczyła do niego z zaiskrzonymi oczami.

— Co prawda?! — wrzasnęła. — Co prawda?

— Ano to, co mówisz!...

— A!... więc kokocko wyglądam?

Podparła się pod boki, dusząc się w zbyt ciasnym gorsecie i aksamitnym kołnierzyku sukni.

Żółty kwiat chwiał się na jej głowie, jak chorągiew niesławny.

— Ja... nie mówię — jękał nieszczęśliwy Marulka.

— Otóż na złość pójdę tak, jak jestem! — wołała Frania. — A jeżeli mnie kto zaczepi albo paupry<sup>15</sup> mnie sekować<sup>16</sup> zaczną, to będzie twoja wina, mój czuły panie mężu!...

Uspokoila się wszakże, przyglądziła włosy i wskazała parasolką drzwi.

<sup>8</sup>marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>na przemiany — dziś popr.: na przemian, na zmianę. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>*Traviata* — opera wł. kompozytora Giuseppe Verdiego (1813–1901) z 1853 roku, oparta na *Damie kameliowej* A. Dumasa. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*Carmena* — dziś popr.: *Carmen*, opera fr. kompozytora Georges’a Bizeta (1838–1875) z 1875 roku. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>dżet — błyszczący czarny kamień ozdobny, czarny paciorek. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>brydy (daw.) — wstęgi lub pasy do wiązania kapelusza damskiego, przechodzące po bokach głowy i zawiązywane pod brodą. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>kokocko — tak jak kokota, w sposób właściwy kokocie; *kokota* (daw.): prostytutka. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>pauper (łac.: biedak, ubogi) — tu: biedny chłopak, ulicznik, urwis. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>sekować (z wł.) — dręczyć, nękać, przesładować, dokuczać komuś. [przypis edytorski]

— Proszę iść naprzód!... — wyrzekła. — Nie mam ochoty, żebyś mi kiedy na kark spadł na wschodach<sup>17</sup>, a ty potrafisz mi to zrobić... O!... znam cię, chytra sztuko!...

Poszli więc na ów festyn i Frania szła teraz po alejach Ogrodu w takt marsza z *Carmeny*, nie odwracając głowy, patrząc prosto przed siebie i sznurując usta. Wiedziała bowiem, że może spotkać panią naczelnikową, pana naczelnika i kolegów męża, należało im pokazać, że pani Marulka jest kobietą „dobrze” i potrafi reprezentować instytucję, w której mąż pracuje. Gdy doszli do restauracji, Marulka zaproponował żonie „*a seid'l*”<sup>18</sup>, za co został silnie uszczypany w łokieć, gdyż piwo pić można, ale o zejdlach i halbach<sup>19</sup> mówią tylko prostacy.

Właśnie koło ogrodzenia niedaleko latarni opróżnił się stolik i kelner sprzątał kufle i ułamki precli, rozsypane na blacie; Frania usiadła na krzeselku i sznurując ciągle usta, zażądała dwa „kufelki” piwa. Kelner poszedł, machając serwetą, a orkiestra skończyła fantazję<sup>20</sup> z *Carmeny*.

I nagle pośród stolików, w obrębie białej palisady, odgraniczającej piwiarnię od reszty ogrodu, wybuchł gwar, szum i hałas. Zagłuszone muzyką rozmowy zawirowały w powietrzu jak łopot skrzydeł potwornej gromady ptaków.

Stoliki, otoczone zbitą masą ludzi, tworzyły białe plamy, pocętkowane ciemną masą kufli. Tu i owdzie białe, jaśniały suknie kobiece. W oddali krwawiła się nawet jakaś bluzka koralowej barwy, nieco dalej lazuruowe, błękitne jak turkusy sukienki podlotków przybierały w świetle zachodzącego słońca fioletowe, dziwaczne tony. Pęki kwiatów kołysały się na żółtych tłach kapeluszy, tu i owdzie pióra drżały, poruszone niewidzialnym podmuchem wiatru.

Środkiem, pomiędzy stołami, szło maluchne dziecko w długiej, aksamitnej, fioletowej sukience, dziecko białe, różowe, tłuste i śmieszne, wlokąc za sobą laskę z dużą srebrną gałką. Co chwila jakaś ręka wyciągała się w stronę dziecka, jakby chcąc pochwycić to różowe zjawisko, lecz ono szło dalej, dumne i trochę zamyślane, z oczami utkwionymi przed siebie, w szeroką przestrzeń ogrodu, który się przez otwartą bramę rozkładał w zieleni drzew i klombach kwiatów, przyczernionych teraz tłumem ludzi, co się po alejach snuł.

Poza ogrodzeniem przemknęła gromada dam i mężczyzn, śmiejąc się głośno i hałasując. Kobiety miały jasne płócienne suknie, skromne i na biodrach obcisłe, mężczyźni doskonale skrojoną odzież i jasne cylindry. Mówili po francusku krzykliwymi głosami i bezwiednie zabierali całą przestrzeń alei, usuwając innych w cień i ciszę.

Siedzący w ogrodzeniu restauracyjnym ludzie zaczęli podnosić się z krzeseł i wymieniać nazwiska:

— Hrabina! księżna, o! o!... te cztery panny w białych włóczkowych pelerynkach to córki namiestnika... a to sama namiestnikowa!... Ten młody blondyn w meloniku brązowym — to baron Brunszwicki... A to jego narzeczona...

Frانيا wyprostowała się i zacisnęła jeszcze więcej usta.

To zbliżenie się arystokracji, którą czuła oddzieloną od siebie zaledwie kilkoma krokami i linią sztachet, przejmowało ją uroczystym nastrojem. Baczenie spojrzała na męża, który pił w tej chwili piwo, a płyn ciekł mu po siwej brodzie i spadał kroplami złotawymi na białą pikową<sup>21</sup> kamizelkę. Na Franię wystąpiły ognie. A nuż kto dostrzeże.

Wyciągnęła nogę i kopnęła nią męża, ten podskoczył i spojrzał na żonę przerażony. Lecz Frania uśmiechała się ciągle i jakkolwiek bardzo czerwona nie rozsznurowała ust ani na chwilę...

Gromada arystokratyczna, popychając się i mówiąc częstochowską francuszczyzną<sup>22</sup>, zniknęła pod gałęziami drzew.

<sup>17</sup>*wschody* — tu daw.: schody. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*a seid'l* — popr.: *ein Seidel* (niem.): kufel. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*halb* (niem.) — pół. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*fantazja* (muz.) — utwór muzyczny o swobodnej budowie, łączący kontrastujące motywy. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*pikowy* — wykonany z piki; *pika*: prążkowana, gęsta tkanina bawełniana a. jedwabna. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*częstochowska francuszczyzna* — kiepska francuszczyzna; określenie na wzór wyrażenia „rymy częstochowskie”, czyli nieudolne, prymitywne. [przypis edytorski]

Teraz powoli stoliki opróżniały się i damy sprzedające bilety wstawiały znużone, przeciągając się lekkim, wdzięcznym ruchem.

Panowie komitetowi, złani potem, obliczali kasy, zsypywali pieniądze w kapelusze.

Brzęk ich łączył się z dalekimi tonami muzyki, które majaczyły w przestworzu.

Wraz z odejściem arystokracji dokoła Frani wytworzyła się moralna pustka. W umyśle tej biednej kwoki owe hrabiny i księżny stanowiły jądro społeczeństwa. To, co zostało i piło piwo przy stolikach, nie było w dziesiątej części warte uwagi.

I teraz Frania zmrużonymi oczami patrzyła dookoła, jakby nagle czując się wyższa, bogatsza, lepiej urodzona od całego tłumu. Zdawało się jej, że jakaś fatalność wtłoczyła ją pomiędzy tych ludzi... Jej moralne „ja” bez przyczyny zaczęło roić i przybierać wielkie rozmiary.

Było tak silne i gniewu pełne, że czuła, iż niedługo jej fizyczne „ja” nie wystarczy na pomieszczenie tej pychy i tej przerażającej pustki, która jej serce rozsadzała.

Potoczyła wzrokiem dokoła; mrok zapadał i gdzieś tam zapalono latarnie i lampiony gazowe. Jasne punkciki migotały w błękitnawym świetle. I nagle Frania czuła silny, gorący prąd, przebiegający jej ciałem. Oczy jej padły na mężczyznę siedzącego obok jej stołu, schyłego nad kuflem piwa, który spokojnie patrzył wprost przed siebie, paląc papierosa. Na chwilę jego duże, ciemne oczy spotkały drobne źrenice Frani i z głębi jego oczu w oczy kobiety wpadł ten prąd nieuchwytny, to drganie atomów, okrążających każde ciało, stanowiących drugie ciało, odlatujące od nas dobrowolnie, pite, połykane, wchodzące w krew, trawione, inkrustowane<sup>23</sup> w źrenicach innych osobników, którzy nawzajem dają nam z siebie ten obłok niewidzialny, ciągnący się za nami wszystkimi jak para ponad szupem wrzącej wody.

Frانيا, nie rozumiejąc, nie zdając sobie sprawy, czuła jednak, że od tego człowieka płynie ku niej jakiś czar, coś nieuchwytnego, a przecież co powoli wypełnia ją całą i przejmuje ją na wskroś jak ciepło wiosenne...

Zmieszana, przerażona, pochyliła się nad stolikiem i kreśliła palcem po blacie niewidzialne zygzaki.

Lecz po chwili podniosła znów głowę i wzrokiem szukała nieznanego. Siedział ciągle przy stoliku samotny, spokojny, opierając się teraz na lasce, z przygasłym papierosem w zaciśniętych zębach.

Był to rostry, dość chudy brunet, ubrany czysto i porządnie, z włosami gładko przystrzyżonymi i siwiejącymi już na skroniach. Rysy twarzy jego były regularne, nos silnie zaznaczony i zagięty, usta ocienione niewielkim wąsem. Słowem, postać dość pospolita, często spotykana tu i owdzie, niezwracająca uwagi.

Lecz pod rondem kapelusza migotały duże, czarne oczy, wielkie i ocienione rzęsami. W oczach tych leżał główny czar, który Franię uczynił nagle zmieszaną i bezsilną, napędlając jej istotę niepokojem pensjonarki pomimo jej lat czterdziestu.

Nigdy żonie Marulki nie zdarzyło się odczuć tego piorunowego uderzenia, które wstrząsa całą fizyczną i moralną istotą kobiety. Zaczęła drżeć nagle i naciągnęła na plecy narzutkę, schowała pod nią ręce i obie pięści przycisnęła do żołądka. Miała teraz wygląd przerażonej kury, którą nagle spętano i przed której ślipiami błyska już ostrze kuchennego noża.

Mężczyzna nie patrzył teraz na nią i zwrócony profilem, śledził powolne zapalanie się lampionów na ciemnym tle parku. Frania nie spuszczała go z oka. Zdawało się jej, że człowieka tego zna doskonale, że spędziła z nim długie lata, życie całe! Wielkość jej malała teraz, drobniała i czyniła ją pokorną i mniej złośliwą. Pobladła i nie czuła, że kapelusznik przekrzywił się jej, zsuwając na lewe ucho. Bezwiednie mięknęła w swym śmieszonym i mizernym gniewie wobec jakiejś przepotężnej duchowej zagadki, którą odczuć umiała, lecz szła w nią na oślep, jak zwierzę w wóz pchane.

Chwilę chciała się otrząsnąć z tego wrażenia, zwróciła się w stronę Marulki, lecz ten właśnie dobywał ukradkiem z kieszeni tabakę i gotował się do zażycia porządnego niucha.

I po raz pierwszy w życiu Frania odwróciła głowę, nie złorzecząc i nie wymyślając mężowi za ten nałóg, który napędliał ją wstrętem.

<sup>23</sup>*inkrustowany* — zdobiony techniką *inkrustacji*, polegającą na wydrążaniu wgłębień w drewnie i wypełnianiu ich drewnem innego gatunku i koloru, względnie kością słoniową, metalem itp. [przypis edytorski]

Czuła, że gniewne słowo zabrzmi fatalnie w tej chwili, w której w jej piersiach zimnych i pustych coś jakby dławione łkanie nurtować<sup>24</sup> zaczyna!...

I znów fatalnie, jakby więzami skuta, zwróciła się ku nieznanemu, który siedział wciąż nieruchomy, tonąc coraz więcej w cieniu, podczas gdy w oddali tłumy ludzi zaczynały występować jaskrawymi sylwetkami pod masą płomieni gazowych.

I w cieniu tym nieznanemu nabierał coraz więcej fantastycznej i tajemniczej grozy. Teraz bowiem Frania, nie widząc dokładnie jego rysów, całym nerwowym natężeniem swej istoty krążyła dokoła jego postaci, chcąc dojrzeć jego twarz, spojrzenie, ust wycięcie. Ciągnął ją ku sobie jak otchłań, jak przepaść. Straciła wolę i świadomość siebie. Nogi jej zlodowaciały, a wzdłuż bioder przebiegały płomienie. Chwilę przesunęło się jej przez myśl słowo „opętanie” to znów „tyfus”. Wreszcie myśli mieszały się jej w chaosie zupełnym, nie wiedziała dokładnie, kim jest, gdzie jest... czuła tylko, że ginie w jakimś pragnieniu i tęsknocie wśród dreszczów i błyskawic, targających jej ciałem i rozsadzających jej piersi nieokreślonym smutkiem.

Była to dla niej męczarnia, lecz męczarnia dość słodka i pełna wdzięku. Siedziała cicho i spokojnie, bojąc się spłoszyć tego ptaka, co w ciele jej bił skrzydłami rozkosznego niepokoju. I tylko wciąż oczyma śledziła postać nieznanego, odgadując go teraz więcej, niż widząc; znała go tak dobrze! Pomimo że widziała go po raz pierwszy, od dawna, od dziewczęcych jej lat był w niej, w głębi jej samej, był nią samą, czuła to, wierzyła, miała to niezłomne przekonanie.

I powoli teraz zaczęła się uspokajać, nie tracąc wszakże nic z wrażeń niespodziewanych, które opadły ją jak chmara motyli nocnych o wspaniałych złotem utkanych skrzydłach.

Zrozumiała, że temu człowiekowi oddałaby się chętnie i bez wstępu, że z nim życie małżeńskie byłoby nie tylko znośne, ale nawet pożądane, że w jego objęciach nie myślałaby o drożdżnie masła lub o plotkach pani Gundelskiej...

I równocześnie z tą myślą ogarnął ją żal za tym czymś, co to w książkach drukują, co być może istnieje, co inne kobiety czują, co im dopomaga do przebycia ciężkiej włóczęgi życiowej, i razem z tym sentymentalnym nastrojem zaczęły w niej drgać i kipieć uspione zmysły, domagające się o tej spóźnionej porze, w chwili krytycznego przełomu koniecznego zaspokojenia.

I gdyby ten człowiek, ten siedzący w cieniu, wyciągnął rękę, byłaby mu osunęła się do stóp pokorna i wdzięczna, spragniona jego pieczyoty jak zranione zwierzę wody, drżąca na samą myśl królewskiej rozkoszy, jaką przeczuwała lat tyle, i wreszcie, gniewna i rozżalona, z kobiety stała się nędzną i wystygłą bryłą.

Muzyka, ukryta na balkonie restauracji, grała teraz jakieś urywki operowe. Frania zaczęła otwierać i słuchać na dźwięki melodii. Nie drażniły jej rozpasanych w ustawicznym gniewie nerwów. Przeciwnie, teraz dobrze towarzyszyły jej sentymentalno-zmysłowemu podnieceniu.

Cały szereg fatalnych zmysłowych obrazów przesunął się przed oczami tej skromnej i biednej istoty.

Wyobrażenia jej rozpasala się nagle i przełamała bariery wstydu i konwenansów światowych.

Chwilę w fantazji swej ta mała, gruba urzędniczka w kapeluszu na bakier i zbyt ciasnych bucikach miała pożądania i chęci Messaliny<sup>25</sup>, marzącej na łożu ze słoniowej kości...

Lecz nagle ten, który wzbudził w tej małej, śmiesznej duszy cały pożar nieznanych jej namiętności i pragnień, wstał i zadzwonił kufem o spodek.

— *Zablkellner!*<sup>26</sup>...

Do stolika przypadł kelner, zgarnął pieniądze i podał mężczyźnie laskę.

Frانيا rozpaczliwie zacisnęła ręce pod narzutą. Kilka frędzelek dżetowych pękło z suchym trzaskiem.

<sup>24</sup>*nurtować* — dziać się, działać w głębi, w ukryciu, nie ujawniając się na zewnątrz. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>*Messalina, Valeria* (ok. 17–40) — żona rzyms. cesarza Klaudiusza, znana z urody i licznych kochanków. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>*Zablkellner* (niem.) — kelner płatniczy, sprawujący stały nadzór nad rewirem i wyznaczonym do jego obsługi zespołem kelnerów; wita gości restauracji, przyjmuje od nich zamówienia, które przekazuje podwładnym, sporządza rachunki oraz pobiera należność. [przypis edytorski]

Mężczyzna powoli, lawirując wśród stołów, odszedł, przekroczył ogrodzenie i znikł w ciemnej alei, gdzie zamiast lampionów przez gęste krzaki przedzierał się srebrny blask księżycy.

W oczach Frani równocześnie zgasły fosforyczne blaski, gorączka ustąpiła nagle chłodnemu spokojowi. Poprawiła kapelusz i wypila resztę piwa. Zasznurowała usta i złożyła ręce w małdrzyk<sup>27</sup>, siedziała tak gruba, niska, zgarbiona w swej dżetowej pelerynce z „kokocim” kwiatem na czubie kapelusza.

---

Tęgo wieczoru raz jedyny, i to przez krótką chwilę, Frania lubiła muzykę, mężczyzn i światło księżycy!

---

<sup>27</sup>złożyć ręce w małdrzyk — złożyć dłonie na krzyż, wnętrzem do siebie. [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zapolska-frania>

Tekst opracowany na podstawie: Gabriela Zapolska, Dzieła wybrane, tom XII, Wydawnictwo Literackie, Kraków.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska. Utwór powstał w ramach "Planu współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 roku" realizowanego za pośrednictwem MSZ w roku 2014. Zezwala się na dowolne wykorzystanie utworu, pod warunkiem zachowania ww. informacji, w tym informacji o stosowanej licencji, o posiadaczach praw oraz o "Planie współpracy z Polonią i Polakami za granicą w 2014 r."

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aneta Rawska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Okładka na podstawie: Portret Heleny Jasińskiej, Witkiewicz, Stanisław Ignacy (Witkacy ; 1885-1939), domena publiczna

ISBN 978-83-288-1070-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.